



Andry Stasiuk

Fotografie
Denisa Pawelec

Dzień mił
piśemy.
piś mi,



Dziennik pisany później



Wołowiec 2011

Andrzej Stasiuk

Dziennik pisany później

z fotografiami Dariusza Pawelca

Projekt okładki AGNIESZKA PASIERSKA / PRACOWNIA PAPIERÓWKA

Fotografie na okładce i w środku tomu © by DARIUSZ PAWELEC

Copyright © by ANDRZEJ STASIUK, 2010

Redakcja MAGDALENA BUDZIŃSKA

Korekty MAGDALENA KĘDZIERSKA i MAŁGORZATA POŹDZIK / D2D.PL

Projekt typograficzny i skład ROBERT OLEŚ / D2D.PL

ISBN 978-83-7536-298-5

Cena: 30 zł

1

I znowu tu przyjechałem. Znowu czuję smród ścieków i płonących śmieci. W nocy spadł wielki deszcz i o świcie między domami stoi żółtawa mulista woda. W ulicznych rozlewiskach bawią się dzieci. O siódmej rano zaczyna się upał. Właściciele knajp i sklepów splukują syf z chodników na jezdnie. Wszędzie stoją krzesła i zaraz przyjdą faceci, żeby przesiedzieć cały dzień. Obejmują się i całują, jakby nie widzieli się Bóg wie jak długo, ale przecież siedzieli tutaj w tym samym składzie minionego wieczoru. Nic się nie zmienia. Dostają swoją kawę, szklanekę wody i zaczynają rozmawiać. Od siódmej rano gadają jak baby. Siedzą w rozpadających się miastach, wśród zrujnowanych domów i rozmawiają. Przychodzą kolejni, całują się, siadają i zaczynają mówić. Rozpinają koszule, żeby było widać złote łańcuchy. Podnoszą filiżanki i odginają małe palce, żeby było widać sygnety. Co parę kroków stoi kilka krzesel i stolik. Uciekają z domów i siedzą na ulicach, jakby nie mogli bez siebie wytrzymać, jakby umierali ze strachu przed samotnością. Gdyby ich rozdzielić, pewnie by oszaleli. Są jak duże, brzuchate dzieci. Żyją w stadzie.

Samotnik nie ma szans. Samotność to choroba, samotność to obłąd. Kelner sprząta ze stolików i wywala śmieci na jezdnię. Pety, paczki po papierosach, puszki po coli. Wypierdala to tam, gdzie zaczyna się niczyje, czyli reszta świata, która jest próżnią, pustką, czarną dziurą i mrocznym bezpiecznym kosmosem, i pomieści się tam cały syf Albanii.

Osiemnastoletnie szczeniaki witają się tak samo jak starzy, ale dodają do tego jeszcze gesty zmałpowane z MTV albo NBA, cały ten skomplikowany, wynaleziony przez czarnych braci rytuał przybijania piątek. Ale tylko tym różnią się od swoich ojców. Cała reszta jest taka sama. Te same złote łańcuchy, ten sam samczy chód i to samo bezwiedne macanie się w kroku. Wyglądają, jakby wymknęli się z telewizyjnych reklam z tym swoim sznytem włoskich żigolaków. Wypomadowani, wypindrzeni, w obcisłych dzinsach, wyżelowani, w butach z delikatnej skóry siedzą wśród pływających hałd śmieci, wśród gnijących baranich wnętrzności, z rynsztokiem u stóp, siedzą i naradzają się w sprawie losów świata. Tu przez sześćset lat była feudalna Turcja, krótki paroksyzm wolności pomiędzy wojnami i potem katatonia plemiennego komunizmu. Teraz widać, jak telewizyjne fantomy żyją i poruszają się w tej zamierzchłej przestrzeni, w tym nowym kruchym czasie, który załamuje się i pęka niczym świeży lód. Stare kobiety chodzą w tradycyjnych białych strojach. Pod spódnicami noszą spodnie z tego samego wykrochmalonego materiału, a na nogach kierzpce.

Znowu tu jestem. Przy płynąłem zardzewiałym promem z Brindisi. W kabinie nie było okna. Wziąłem karimatę, śpiwór i poszedłem na dziób. Pokład wibrował i cuchnął ropą. Niebo było pełne gwiazd. Natychmiast zasnąłem. Zbudziłem się o świcie. Widać było ląd. Przy burcie stali mężczyźni i patrzyli w stronę zamglonych wzgórz. Stali pojedynczo, nie rozmawiali. Mieli poważne twarze. Płynęli do ojczyzny, ale nie mogłem dostrzec śladów podniecenia ani radości. Poprzez mgłę, poprzez złociste światło poranka widzieli bezbrzeżny smutek swojego kraju. Wracali tylko po to, by znowu wyjechać. Wracali na miesiąc, na tydzień z ukrytymi głęboko w zakamarkach ubrania pieniędzmi z Włoch, Niemiec albo Szwajcarii. Z końcem sierpnia wszyscy ruszą z powrotem i barak w porcie Durrës służący za halę odpraw zamieni się w przedsionek piekła. Ale to dopiero za dwa tygodnie. Teraz rozdygotany, trawiony rdzą prom wpływał do portu we Wlorze.

Gdy przybiliśmy, zjawili się mundurowi i z oszklonej kanciapy, w której wcześniej sprzedawano piwo i kawę, zaczęli wykrzykiwać dane z paszportów. Ludzie tłoczyli się wokół okienka, wyciągali szyje i nasłuchiwali, jakby bali się, że ich nazwiska gdzieś zaginą, przepadną, że zostaną skazani na nieistnienie. Bez skrępowania podawali sobie z ust do ust cudze imiona.

Dwa dni później Orges zapytał: „I po co tu przyjeżdżasz? Dla przyjemności? Bo jest pięknie? Bo egzotyka? Chcesz powiedzieć, że gównu nie śmierdzi? Przecież śmierdzi. Przecież tutaj jest syf”.

Miał rację. Syf był na maksa. Na targowisku wielkie ryby leżały w błocie na chodniku. Miał rację. Cuchnęło pod niebiosą. Obok kucali

faceci, którzy chcieli je sprzedać. Przy wyjeździe z miasta wśród bud, straganów, śmietników, wśród badziewia, wśród wiekuistego parteru i postosmańskiego slamsu była rzeźnia: po prostu jeszcze jedna buda, ciemna wnęka w zabudowie, mroczna jaskinia z dykty, glinianych cegieł, diabli zresztą wiedzą z czego, po prostu trochę cienia, i tam, w tym półmroku uwijał się mężczyzna, na hakach wisiały nagie, czerwone ciała zwierząt, a przed wejściem, właściwie na ulicy, tak że trzeba je było omijać, leżały te jeszcze żywe, trzy albo cztery szarobure owce, i w zupełnym spokoju czekały na swoją kolej. Na ulicę wypływała woda pomieszana z krwią. Miasto liczyło ponad dwa tysiące lat i mogło sobie na to wszystko pozwolić. Było śmiertelnie zmęczone. W nocy wszyscy wychodzili na ulice. Nie było światła i wszędzie terkotały japońskie generatory. Nie paliły się latarnie, ale zewsząd dobiegały głosy mężczyzn, rozmowy i śmiech. Tylko błyski zapalniczek i samochodowe światła wyluskiwały z mroku pojedyncze gesty, twarze, okruchy życia i kształty. To było jak jakaś wielka termitiera wydrążona w głębi nocy. Ludzie wyczuwali swoją obecność jak zwierzęta. „Po prostu nikt nie płaci za prąd – powiedział potem Orges. – Te ciemności to kara”.

Tak. Sam nie wiem, po co przyjechałem. Nie ma tu żadnej egzotyki. Te wszystkie rzeczy, zapachy, zdarzenia i reszta istnieją też gdzie indziej. Tutaj są tylko podniesione do potęgi, zwielokrotnione i wyzywające jak tanie i mocne perfumy w ciasnym pokoju. Gdzieś koło Rranxë kładli nowy asfalt. Szosa zwęziła się do jednego pasa. Ten drugi, świeży, czarny i lśniący zarzucony był kamieniami wielkości psiej albo ludzkiej głowy.

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

